

## Wisława

Nie ośmieliłbym się nazwać Jej przyjacielem, choć chyba mnie lubiła i zawsze traktowała z ogromną życzliwością. Czuję się prawdziwie zaszczycony, gdy zaproponowała, byśmy sobie mówili po imieniu. Ucieleśniała przymioty bardzo rzadko razem występujące: dyskretną dobroć, nieklamany wdzięk, przenikliwą inteligencję, wyszukany dowcip, zabarwione ironią i autoironią poczucie humoru, idące w parze ze zdumiewającą skromnością i bardzo małymi wymaganiami. Urokiem osobistym unieważniała upływ czasu. Ubierała się z elegancją, ale i z przekorną dezygnwolturą wobec obowiązujących mód oraz chęci nadmiernego strojenia się. Zawsze uśmiechnięta, z nieodłącznym papierosem, zwykła cytować swoją replikę, jaką odpowiadała na – bardziej lub mnie szczerze – wyrazy troski o jej zdrowie: „Byłam już na tyłu pogrzebach ludzi, którzy nie palili”. Krucha, delikatna jak z chińskiej porcelany, emanowała zarazem wewnętrzną siłą. Każde spotkanie z Nią było prawdziwym świętem. Nie tylko wtedy, gdy czytała swoje wiersze, zawsze ograniczając lekturę do jedynie trzech, starannie wybranych, ale i wówczas, gdy bywaliśmy z żoną zapraszani na kolację lub gdy nas odwiedzała.

\*

Umiała zaczarować codzienność. Nawet przysłowiowe „niedobory na rynku” potrafiła przemienić w przepyszną zabawę. Kiedy bywaliśmy z żoną u Niej w mieszkaniu przy ulicy

Chocimskiej, zwykle częstowała gości zupą w proszku. Rozdawanie torebek z różnymi rodzajami zup stawało się swego rodzaju ceremoniałem, odprawianym z przymrużeniem oka, ale i z namaszczeniem, jakie towarzyszyłoby podawaniu najwykwintniejszych potraw. Podobna atmosfera panowała w Jej nader skromnie umeblowanym mieszkaniu przy ulicy Piastowskiej, które kupiła sobie po otrzymaniu Nagrody Nobla. Nagroda w niczym nie zmieniła Jej przyzwyczajzeń. Nadal dobierała swoich gości bardzo starannie, ograniczając ich liczbę do ośmiu najwyżej osób, dbając, by się nawzajem uzupełniali i okraszali posiłek ciekawymi, dowcipnymi i inteligentnymi rozmowami. Prawdziwa dama w dawnym stylu, jedna z ostatnich, a może ostatnia z przedstawicielek formacji, która, niestety, zapadła się w nicość, umiejętnie i z polotem sterowała towarzyskim dialogiem, ozdabiając go błyskotliwymi lub zabawnymi powiedzeniami. Jakże żałowałem, że nie mogłem ich zapisać! Chociaż bez towarzyszącego im kontekstu stałyby się, być może, mało zrozumiałe i straciły swój blask. Utrwałę choć dwa, bardzo dla niej charakterystyczne. Zwracając się do nas, polonistów z Uniwersytetu Jagiellońskiego, powiedziała kiedyś z udaną powagą: „Ulicą Gołębią przemykam się onieśmielona: Takie góry mądrości!” Wart jest także zapamiętania toast, który wznosiła po śmierci Czesława Miłosza: „Zdrowie Miłosza! Bo tam też trzeba mieć zdrowie!”

Najważniejszą częścią kolacji u Wisławy była, oczywiście, tzw. loteryjka. Sama przygotowywała fanty, które – ukryte w ponumerowanych torebkach – czekały na wszystkich gości. Były to zazwyczaj przedmioty albo zupełnie bezużyteczne, albo odznaczające się kiczowatym wdziękiem. Jednym z fantów był kiedyś, jak pamiętam, przyrząd do odsysania mleka z piersi karmiących matek. Była niepokieszona, że nie wylosował go mężczyzna!

Nawet przy takich okazjach celebrowała każdą chwilę, która nabierała w jej obecności szczególnego, intensywnego znaczenia. Zarazem – inscenizowała nawet drobne przejawy codziennego życia, zamieniając je w swego rodzaju zabawne i surrealistyczne widowisko. Pewnie dlatego tak lubiła filmy Woody’ego Allena i Federica Felliniego. Pociągała Ją wizja ludzkiej egzystencji postrzeganej jako swego rodzaju cyrk czy groteskowy teatr, w którym mieszają się komizm z tragizmem, błahość ze sprawami poważnymi, sztuczność z autentyzmem, kłamstwo z prawdą.

\*

Wiadomo było, że jest szczególnie wyczulona na to, co w rzeczywistości było groteskowe i absurdalne, odbiegające od normy i wyjątkowe. Pasjonowały ją „lektury nadobowiązkowe”, kolekcjonowała stare widokówki, albumy zeszłowiecznej mody, dziwaczne przedmioty i żalosne gadzety. Jej dom był swoistym muzeum osobliwości. Wysyłała do przyjaciół widokówki, które stanowiły zabawne kolaże, układała żartobliwe „rymowanki dla dużych dzieci” i – przede wszystkim, choć bardzo rzadko – pisała wiersze. W życiu i w sztuce stosowała tę samą strategię. Czyżby z tych wszystkich zabiegów, przedmiotów i słów tworzyła mur, za którym, choć na chwilę, pragnęła się schronić przed grozą istnienia? Odprawiała magiczne tańce, zaklinając czające się zewsząd zło?

\*

Dopiero zwiedzając niedawno w Wiedniu ekspozycję prac René Magritte’a uświadomiłem sobie, jak dalece pozornie beztroskie, plastyczne igraszki Wisławy należały do pewnego, ważnego choć marginalnego nurtu surrealizmu. W tym nurcie sam Magritte zajmował miejsce osobne. Na własną rękę eksperymentował z czasem i przestrzenią, swobodnie naruszał

prawa ciężenia i prawdopodobieństwa, prowokująco deformatował i przekształcał ludzkie ciało, nawet swoje listy ilustrował najdziwniejszymi rysunkami. Jego znane obrazy, przedstawiające np. buty o kształcie ludzkich stóp, dyliżans unoszący się nad samochodem, monstrialnej wielkości jabłko wypełniające sobą cały pokój, potężny głaz, który zawisł nad powierzchnią morza – z pewnością podobały się Wisławie. Podobnie jak z drobiazgową dokładnością namalowana fajka z przekornym podpisem: „To nie jest fajka” – czyli wyraźna deklaracja, że to nie mimesis rządzi sztuką, lecz swobodna gra wyobraźni, która czerpie wprawdzie z otaczającego świata rozmaite, konkretne elementy, ale układa je zgodnie z artystyczną inwencją czy głosem podświadomości. Wyobraźni, która łamie przyzwyczajenia, odkleja przedmioty od ich językowych określeń, tworząc rzeczywistość własną i suwerenną. W tym wszystkim podobna do Magritte’a Wisława wprowadza w jego krąg inspiracji akcenty własne i niepowtarzalne. Przede wszystkim mocniej akcentuje w swoich wyklejankach ich walor refleksyjny, a zarazem ludyczny. Wywołuje efekt groteskowy przez połączenie komicznego w swej istocie kolażu z komentarzem, który temu kolażowi nadaje zaskakujące, głębsze znaczenie. Jak choćby w zestawieniu wizerunku małpy z wizerunkiem człowieka, opatrzonym słowami: „falsyfikat”.

\*

Świat budził w Niej nieustające zdumienie, nieklamany zachwyt i starannie tajone przerażenie. Zdumienie było wyrazem bezsilności wobec przepastnych tajemnic, które kryją w sobie zarówno najdrobniejszy pyłek, jak i otwierająca się w nieskończoność przestrzeń wszechświata. Zachwyt wzniewało nieprzebrane bogactwo i migotliwa zmienność rozmaitych form istnienia. Przerażenie wywoływały jawne i ukryte formy

okrucieństwa, obojętność wobec cierpiących i ból wszystkich stworzeń. Zdumienie wyrażały w wierszach chłodny dystans oraz subtelne odcienie ironii. Zachwyty stały się swoistym wyzwaniem, by na wielorakość bytu odpowiedzieć – choćby częściowo – finezją wielorakich gier językowych. O okrucieństwie i cierpieniu opowiadała mową zdławioną przez współczucie.

\*

Nieobecna i intensywnie obecna zarazem. Nieobecna, bowiem stanowczo unikająca rozgłosu, trzymająca się na uboczu, zazdrośnie strzegąca sfery własnej prywatności. Wyrazem tego było choćby to, że nie odbierała od razu telefonów, lecz wpieryw schowana za głos swojego sekretarza, nagrany na automatyczną sekretarkę, słuchała, kto do Niej dzwoni. Obecna, bo mimo pozorów całkowitego wyłączania się z bieżącego życia i zajmowania jedynie problemami o uniwersalnym charakterze, nieustannie i bardzo uważnie śledziła, co się rozgrywało na dziejowej scenie dwudziestego wieku. Napisała przecież utwory poświęcone polskim postawom wobec Zagłady, spotkaniom Latającego Uniwersytetu, skutkom bratobójczych konfliktów wojennych w różnych krajach świata, terroryzmowi, atakowi na World Trade Center.

\*

W młodości – jak wielu członków jej generacji, która miała za sobą koszmar wojennych i okupacyjnych doświadczeń – stała się ofiarą złudzenia, że ten świat można zmienić na lepszy i bardziej sprawiedliwy. Ale wbrew pozorom nie był to jedynie epizod w Jej biografii, który zapalczywi wrogowie Wisławy do chwili obecnej uważają za szczególnie kompromitujący. Ze swej bolesnej pomyłki i gorzkiego rozczarowania umiała

wyciągnąć wnioski na całe dalsze życie. Żarliwość powierzenia się jedynej idei zastąpiły w Jej dojrzałej twórczości niewiara w jakiegokolwiek stadne odruchy, którymi bardziej rządzą manipulacja i zbiorowe emocje niż indywidualny krytyczny namysł. Pewność, poparta naukowymi rzekomo argumentami oraz autorytetem przywódców, ustąpiła ostrożnemu sceptycyzmowi oraz skrupulatnemu przetrząsaniu argumentów strony przeciwnej. Sztywny język propagandy obrócił się w manipulację słowem, które dziwi się sobie i innym słowom, ośmiesza i nicuje utrwalone formuły, stereotypy i gotowe wzory. Jej wiersze z okresu socrealizmu z pewnością szeleszczą – jak wszystkie utwory z tej epoki – zabarwionym ideologią papierem, ale pozostał w nich także zapis autentycznego współczucia dla ofiar, które unieważnia wszelkie podziały polityczne i ideologiczne. Niezależnie od tego, czy pisała w latach stalinowskich o wojnie w Korei oraz zrzuceniu bomby atomowej na Hiroszimę, czy w okresie późniejszym o zbrodniach wojennych, aktach ludobójstwa i spustoszeniach wywołanych wybuchami fanatyzmu i zbiorowych nienawiści – zawsze miała w pamięci pojedynczych, konkretnych ludzi, którzy doznają okrucieństw, zostają wypędzeni z rodzinnego domu, muszą posprzątać pobojojiska. Na dnie pamięci zachowała zapewne raniące obrazy drugiej wojny światowej.

\*

Nie odważyłem się Jej poezji analizować, choć przecież interpretowałem wiersze Jej rówieśników: Herberta, Białoszewskiego, Różewicza. W Jej utworach kryje się bowiem dla mnie niepokojąca tajemnica. Przypominają misterne cacka, które budzą zachwyt swoim kunsztem, ale rozłożone na części tracą cały swój urok. Jakże zazdroszczę tym, którzy potrafili tę twórczość przenikliwie odczytywać!

Gdybym kiedyś ośmielił się o Jej wierszach napisać, odwołałbym się do ich pokrewieństwa z tradycją poezji barokowej. Wskazane kiedyś przez Harolda B. Segala takie podstawowe tematy tej poezji, jak: ujmowanie wszelkich zjawisk oraz ludzkiego bytowania na ziemi w ich postaci chwilowej, przygodnej i przejściowej; medytacja nad istotą czasu; graniczność człowieczej natury, zawieszona pomiędzy sferą cielesną i duchową; silne przywiązanie do zmysłowych, konkretnych, budzących zachwyty stron życia z równoczesną świadomością ich ulotności – z łatwością można znaleźć w wierszach Szymborskiej. Jednakże spotęgowane i pomnożone przez dwudziestowieczne doświadczenia historyczne, refleksję antropologiczną, dokonania nauk społecznych, odkrycia biologii molekularnej i paleontologii, astronomii i fizyki.

Autorkę *Chwili* wiele zbliża także do barokowej poezji metafizycznej. Jej fundamentem była uwaga skierowana ku pojedynczym przedmiotom, koncept, jako kładka ku transcendencji oraz powierzenie ludzkiego losu niedosiężnemu, ukrytemu Bogu. Ale podczas gdy w tych utworach pojedyncze przedmioty odzwierciedlały utajony ład istnienia, u Wisławy Szymborskiej rzeczy budziły czułość właśnie dlatego, że były nieraz porzucone, bezdomne, pozbawione sakralnego znaczenia. Koncept stawał się wyrazem intelektualnej bezradności wobec nieprzejrzystości porządku świata, którym albo włada wszechobecny przypadek, albo ukryte, niedocieczone prawo. Natomiast tam, gdzie poeci metafizyczni umieszczali Boga, Ona stawiała nieśmiały znak zapytania.

\*

Literatura polska straciła najwybitniejszą poetkę.  
Ja – osobę wyjątkową i bardzo mi bliską.

## Wystarczy?

Bodaj najbardziej zdumiewającą cechą ostatniego tomiku Wisławy Szymborskiej jest – zgodnie z jej upodobaniem do paradoksu – nieobecność. Nieobecność motywów starzenia się, dumnego lub rozpaczliwego zmagania ze słabnącym ciałem, które zaczyna powoli odmawiać niepodważalnego posłuszeństwa, brak choćby prowizorycznego rozrachunku z dotychczasowymi dokonaniem i porażkami, mniej lub bardziej surowej oceny całej drogi życiowej. Słowem – kluczowych motywów tzw. poezji senilnej. Jeśli pojawia się w tych wierszach motyw śmierci, to nie własnej, lecz osób bliskich (*Każdemu kiedyś*). Jeśli mowa o unicestwieniu – to możliwej zagładzie całego ludzkiego gatunku, którego świadectwem pobytu na Ziemi pozostają jedynie komputery (*Wyznania maszyny czytającej*). Jeśli prowadzony jest rachunek sumienia, to, jak w zakończeniu wiersza pt. *Wzajemność*, nie tyle osobisty, ile – rozpisany na głosy, otwarty w przeszłość i przyszłość – rachunek sumienia, którego powinien dokonywać każdy z ludzi. Jeśli podsumowanie życia, to w sennej fantasmagorii, *w uśpieniu*. Gdyby nie wiedza o tym, że ten tom ułożyła Szymborska tuż przed swoim nagłym odejściem, można by z całkowitym uzasadnieniem sądzić, że jest to jeden z jej tomów kolejnych, ponowne wariacyjne powtórzenie i przetworzenie charakterystycznych dla niej tematów, ujęć i emocjonalnych tonacji. Jeszcze jedna zabarwiona przewrotnym humorem medytacja nad nieustannie zdumiewającym pięknem i okrucieństwem



bytu – ze stale obecnym, choć dyskretnie szkicowanym metafizycznym tłem.

\*

Co zatem z tytułem? Wobec nieoczekiwanej śmierci poetki brzmi jak przekorna i dumna deklaracja odmowy dalszego istnienia. Zdaje się wyrażać pragnienie zakończenia własnego życia oraz ostatecznego zamknięcia całej swojej twórczości. Dochodzi w nim do głosu poczucie wypełnienia postawionego sobie zadania, ale zarazem niezgoda na ciąg dalszy – jakby autorka wyznawała, że uznaje bilans swojego losu i swojego pisania za zamknięty, że pragnie już odejść, a jej decyzja jest nieodwołalna. Tymczasem, zgodnie ze świadectwem sekretarza poetki, Michała Rusinka, ten tytuł został ustalony dużo wcześniej, bez świadomości, że nieoczekiwanie nabierze wymiaru niemal eschatologicznego i stanie się swego rodzaju testamentem poetyckim. Oczywiście, poeci miewają trafne przeczucia i nie należy wykluczyć, że tego rodzaju przeczucie towarzyszyło Szymborskiej przy wyborze tytułu tego zbioru wierszy. Ale ten argument nie ma, jak sądzę, mocy rozstrzygającej.

\*

Wisława Szymborska, jak wiadomo, bardzo starannie wybierała tytuły swoich tomików poetyckich. Tytuły ostatnio opublikowanych układają się w wymowną sekwencję: *Chwila* (2002), *Dwukropek* (2005), *Tutaj* (2009), *Wystarczy* (2011). W pierwszym i trzecim tytule przestrzeń i czas zostają uchwycone w swojej znikliwej ulotności, a zarazem dokładnie wyodrębnione, jakby wskazane palcem. Tyleż przynależą do wymiaru egzystencjalnego, co do poetyckiego, są jednocześnie domeną życia i pisania. Przy czym kluczowe znaczenie ma fakt, że tytuły

tych zbiorów – podobnie jak to poprzednio bywało – to także tytuły pojedynczych wierszy. Tymczasem *Dwukropek*, podobnie jak *Wystarczy*, to tytuły, które nie posiadają odpowiadających im utworów, zostały umieszczone jedynie na okładce. Czyżby *Dwukropek* miał sugerować, że zebrane w tomie wiersze, nawiązując do częstego w tej poezji chwytu wyliczenia, stanowią jedynie część nie-dającego się ani nigdy wyczerpać, ani zakończyć zbioru? Czy wyraża przeświadczenie, że język staje bezradnie wobec nieprzebranej ilości zjawisk, ich wielorakości i złożoności, które można jedynie nieudolnie i bez końca wyliczać? Albo przeciwnie – jest świadectwem, zdanego z góry na przegraną, ale przecież uparcie ponawianego wysiłku poetki, by chwiejną i kruchą równowagę pomiędzy rzeczywistością i słowem swoim piórem na chwilę podtrzymać? Jeśli tak, to *Wystarczy* wolno uznać za swoistą kodę, jakby zamknięcie kropką wyliczenia rozpoczętego dwukropkiem. Jednakże owa koda okazuje się pozorna.

\*

Wypada przypomnieć, że słowo „wystarczy” było motywem przewodnim utworu pt. *Właściwie każdy wiersz*, którym kończył się tom *Dwukropek*. Co zastanawiające, tekst ten zawiera sugestię, jak należy odczytać tytuł poprzedniego tomu, Jak powiada autorka: „Właściwie każdy wiersz/ mógłby mieć tytuł «Chwila»”. Bowiem do tego „wystarczy jedna fraza” języka, jego zdolność uobecniania migotliwie zmiennej materii świata, stworzeń i ludzi: „Wystarczy, że cokolwiek niesione słowami/ zaszeleści, zabłyśnie,/ przepłynie,/przefrunie”, albo, że „jest mowa/ o kimś obok kogoś”. Wystarczy „jeśli czarno na białym/ czy choćby w domyśle,/ z ważnego albo błahego powodu,/ postawione zostaną znaki zapytania,/ a w odpowiedzi – jeżeli dwukropek:”.

W błyskawicznym skrócie całe – ludzkie i pozaludzkie – życie Szymborska zamyka pomiędzy dwoma znakami graficznymi: pytaniem i dwukropkiem. Między nimi umieszcza kluczowe słowo „wystarczy”, w którym zawarta jest nie tyle – lub nie tylko – definitywność, lecz także wezwanie. Wezwanie do uwolnienia się od łatwych odpowiedzi, myślowych i percepcyjnych nawyków, nabytych przyzwyczajęń, silnie ugruntowanych stereotypów. Wezwanie to – w ostatnim tomie wierszy, podobnie jak w poprzednich – nabywa sensu zarazem ontologicznego, poznawczego i estetycznego. Ontologicznego, ponieważ zawiera się w nim sugestia, że wobec nieprzebranego bogactwa fenomenów istnienia wystarczy z nich wybrać dowolny, na pierwszy rzut oka banalny, przyziemny, powszedni, by i tak odsłoniła się porażająca złożoność. W tomie *Wystarczy* może to być równie dobrze śmierć bliskiej osoby, demonstracja polityczna, spotkanie na lotnisku, jak też lustro ocalałe w zburzonym domu czy karta dań w restauracji. Szymborską jak gdyby przestała zajmować graniczność człowieczej natury, ogranicza krąg swoich refleksji do świata wyłącznie ludzkiego – zawieszona pomiędzy zimnym, pełnymciemnym dziur kosmosem, a współcierpiącą z nami przyrodą.

\*

Poetka zdaje się podpowiadać: wystarczy chwila namysłu, by odsłoniła się przerażająca tajemnica ludzkiej dłoni – splotu dających się dokładnie policzyć kości, ścięgien i mięśni, dłoni, zdolnej napisać zarówno *Mein Kampf*, jak i *Kubusia Puchatka (Dłoń)*. Wystarczy odrobina empatii, by w witającej się na lotnisku parze dojrzeć kochanków, spragnionych swej najbardziej intymnej bliskości (*Na lotnisku*). Wystarczy odruch współczucia, by w męce psa, która w upalny dzień, przywiązany na za krótkim łańcuchu, nie może dosięgnąć zbawczej miski

zimnej wody, dostrzec metaforę położenia każdego człowieka – także ograniczonego niewidzianymi łańcuchami, pełnego przy tym obojętności wobec cierpienia innych istot żywych, a zarazem łudzącego się przekonaniem, że stoi na wierzchołku piramidy wszystkich stworzeń (*Łańcuchy*). Wystarczy spojrzeć na demonstracje polityczne z perspektywy sprzątającego po nich pracownika Oczyszczania Miasta, by odsłoniły się zaślepienie, fanatyzm i zaciętrzewienie, które zazwyczaj towarzyszą masowym wystąpieniom ulicznym (*Ktoś, kogo obserwuję od pewnego czasu*). Krótko mówiąc, wystarczy mądrzej i przenikliwiej popatrzeć, by życie zamieniło się w nieustanną, zapierającą oddech przygodę poznawczą – zawiera bowiem w sobie niepoliczalną ilość rozmaitych punktów widzenia.

\*

Cały ten tom wymownie ponadto dowodzi, że wystarczy umiejętnie posłużyć się językiem poetyckim, by – dzięki zawartej w nim, tajemniczej zdolności do esencjonalności i zwięzłości wyrazu – dotknąć fundamentalnych pytań, którymi od wieków zatrudniają swe umysły filozofowie, teologowie, antropologowie, znawcy etyki. Jak choćby w wierszu *Przymus*. Czytając kartę dań, poetka dostrzega w niej „nekrolog”, skoro zawsze „zjadamy cudze życiem żeby żyć”. I tutaj w sposób niezwykle oryginalny, przeformułowuje odwieczny problem teodycei. Byłaby zatem Natura, jak sądzili gnostycy, od początku skażona, co stawia pod znakiem zapytania obraz „dobrych bogów”? Tak, dopowiada – ale nie przez zło, nie-dające się wyjaśnić i usprawiedliwić cierpienie wszystkich stworzeń, lecz przez głód, który owe stworzenia zmusza do wzajemnego pożerania się. Czyli zło tkwi, jak się okazuje, w samym procesie podtrzymywania życia! Głód jest złem, który pozbawia istnienie niewinności. Jednakże,

z właściwą sobie ironiczną dezynwolturą, Szymborska kończy teologiczny wywód w tonie lekkim, niemal zabawnym. Powagę rozbraja żartem, z podniebnego lotu refleksji wraca, jak to u niej w zwyczaju, w codzienność, przypominając, że „przy stołach nierzadko wesołe rozmowy”.

\*

Wystarczy? Jak dalece trudne to zadanie uzmysławiają dodane w tomie przez Ryszarda Krynickiego faksymile wierszy niedokończonych, zaledwie zaczętych. Można tylko żałować, że tak znakomite utwory, jak *Owady* czy *Materia* nie doczekały się ostatniego dotknięcia autorki. Doskonała, przemyślana, dopracowana w każdym szczególe konstrukcja utworu wylaniała się, czego świadectwem rękopisy, powoli, stopniowo – z magmy notatek, zanotowanych na gorąco pomysłów językowych, kreślonych pośpiesznie równoległych wariantów tego samego tekstu. Krynicki uważnie i ostrożnie komentuje te próby. Poeta i przyjaciel z natężeniem wsłuchuje się w głos poetki, a celując w charakterystyczne dla niej „brzmienie i rytm”, podejmuje próby odtworzenia lub przynajmniej hipotetycznego ustalenia ostatecznej wersji tekstu tam, gdzie autorka nie zdążyła tego dokonać. Powiada w pewnym miejscu, że choć nigdy nie wiadomo, który z wariantów tekstu wybrałaby, to „pozostaje nam jedynie wyobrażać je sobie – co zresztą lubię w poezji”. Powstaje tym sposobem fascynujący dialog dwóch poetyckich wrażliwości. Zarazem zachęta do dialogu, który z tymi wierszami musi już na własną miarę kontynuować każdy z nas, czytelników Wisławy Szymborskiej.